

## Hamil

---

Opowiadanie. Jedno z moich pierwszych. Cięższe.

Atmosfera jest ciężka. No bo i czego innego się spodziewać. Zjechała się chyba cała rodzina, poza wujostwem z Opola, które – jak podsłuchałem – zakomunikowało, że przyjedzie dopiero na pogrzeb.

- Nie stój tu, idź tam – mówi ojciec i wskazuje palcem drzwi, na drugim końcu pokoju. Stałem niemal przy łóżku.

- Dlaczego? – pytam.

Ojciec patrzy na mnie z urazą. Może odrazą? Odpowiada dosłownie po ułamku sekundy.

- Hamil, nie wkurwiał mnie! – szepcze i kręci głową.

Oczywiście, w takich sytuacjach człowieka takiego jak ja, najmłodszego w towarzystwie, traktuje się jak bałwana, nieogarniętego życiowo idioty, który o niczym nie może wiedzieć i na niczym się nie zna. Jestem teraz taką trochę ułomną istotą, którą starsi i mądrzejsi odstawiają na bok mówiąc „Tylko patrz, to sprawa poważnych ludzi.”

I chuj, że właśnie umiera mi dziadek.

Jestem posłuszny, resztki szacunku do własnej osoby nie pozwalają mi na wdanie się w kłótnie ze starym w takich okolicznościach. Ruszam więc w stronę drzwi.

Chce mi się srać. Do kibla wchodzi się z salonu, w którym leży umierający na coś (nie mam przecież prawa wiedzieć na co) Zbysław, głowa rodziny od kilkadziesiąt lat. Kurwa, będzie ciężko.

Może była to jakaś forma dystansu, ale w tamtym momencie myślałem o procedurze wysrania się i o niczym innym. Myślę tak: jeśli nie będzie półki, będę musiał położyć trochę papieru, żeby zamortyzować spadek gówna i w miarę możliwości wygłuszyć chlupnięcie. Dobra, wchodzę.

W ustępie nie ma półki, a papier nie zadziałał. Pominę już fakt, iż siedziałem tam kilkanaście ładnych minut, bo w takich warunkach ciężko cokolwiek z siebie wydusić, jak wiecie. Ze dwa razy ktoś wali w drzwi. Założę się, że to ojciec. Albo Tadzik.

Smutną ciszę przerywa głośnie uderzenie ekskrementów o niewzruszoną taflę wody w sraczu. Kurwa, bo kto stawia kibel pod nosem i uszami ludzi?

Wychodzę z kibla, cały czerwony. Na szczęście, nikt nie zwraca na mnie uwagi. Wszyscy zebrani stoją w pożegnalnej kolejce do łoża, na którym umiera kochany dziadek. Stoi tam też ojciec. Odwraca się do mnie i spogląda w dość znaczący sposób. Znam to spojrzenie. Nieprzyjemne. Rozumiem, że muszę, ale przecież i też chcę pożegnać się z dziadziusem.

Staję w ciągu. Idzie to bardzo powoli. Członkowie rodziny i starzy znajomi Zbysława nie szczędzą słów pożegnania. Kiedy kolejka przesuwa się dalej widzę go. Jak Don Corleone, z poważną miną przyjmuje okazywane mu gesty szacunku. Cieszę się. Myśli, że miał dobre życie, a o to chyba chodzi.

Kiedy przychodzi kolej na ojca nie mogę na to patrzeć. Wolę skupić wzrok na obrazie powieszonym nad łóżkiem. To bardziej stare zdjęcie, niż obraz, przedstawiające świeżo poślubioną młodą parę. To dziadek i jego żona. Uzmysławiam sobie, że do tej pory nigdzie nie zlokalizowałem babci. Biedna musi teraz strasznie cierpieć.

W końcu moja kolej. Biorę głęboki wdech. Minę muszę mieć nietęgą.

Siadam na krawędzi łóżka i chwytam wyciągniętą dłoń starca. Dziadek spogląda na mnie, tak samo jak na pozostałych. Don Corleone, pożegna się ze mną i ucałuje.

- Hamilu...

- Nienawidzę cię, skurwysynu – mówię przez zaciśnięte zęby, teraz już w szczerym, szerokim uśmiechu. – Mam nadzieję, że będziesz się smażył w piekle.

Wypowiedziałem chyba dość banalne słowa. Jednak człowieka tego pokroju, zadeklarowanego katolika, choć wierzącego bardziej we własną wiarę i z jakiegoś nie znanego nikomu we wszechświecie powodu w swoje dobre serce, spotkanie z Rogatym i gotowanie dupska w wielkim, stalowym, bulgoczącym z wrzenia garze może, kurwa, przerazić.

Dziadek otwiera nieco szerzej oczy, rozchyła wargi, słyszę, że oddycha szybciej. Moje słowa zaczynają do niego docierać. Zdaje sobie sprawę, że to nie żarty. Widzi mój wyraz twarzy, niezmienny – nie zapłakanego i proszącego o błogosławieństwo na dalsze, samotne, pozbawione przewodnika życie wnuczka, ale, jak sądzę, demona. Opętanego żądzą zemsty pomyleńca.

Chyba próbuje coś powiedzieć. Wydaje z siebie jakieś dziwne pojękiwania, nieprzerwanie patrząc mi w oczy. Jednego jestem pewien. Pierwszy raz w życiu swoim i jego widzę w tych jego ślepiach przerażenie. On to czuje. Wie. Wie, że patrząc na mnie, patrzy na niczym nie skrepowaną, doprowadzoną do skrajnego pojmowania, czystą nienawiść.

Kiedy upewniam się, że zrozumiał, kontynuuję dalej.

- Wiesz – mówię – nie pójdę nawet na twój pogrzeb. Ale jak już cię pochowają – w tym momencie z trudem wdycha powietrze, trochę jakby się dusił – pójdę na ten twój grób i wiesz co zrobię? Odleję się na niego – mówiąc te słowa, jak do niemowlaka (oczywiście na tyle cicho, by nikt, poza Zbysiem ich nie usłyszał) głaszczę go delikatnie po włosach. I śmieję się.

Przez ułamek sekundy pomyślałem sobie, że jestem skurwielem. Ale to, cholera, nie było wcale takie złe uczucie. Stary zjeb przez całe życie pracował na taki swój koniec.

Dziadek nie spuszcza ze mnie wzroku. Jest jak zahipnotyzowany. Jestem pewien, że w tej chwili nie myśli o niczym innym, jak o tym, jak bardzo żałuje. Ha, tyle, że to nie jest żal powstały sam z siebie. Stary chuj żałuje, bo się boi. Może myśli, że w ten sposób mu się „upiecze”? Poczuję się lepiej?

Nic z tego.

- Jesteś skurwielem – mówię. – I umierasz jako skurwieli. Wiesz co to znaczy, prawda? Pora zapłacić za swoje grzeszki, Zbysiu.

- Nigdy wcześniej nie odezwałem się do niego per „Zbysiu”.

Dzisiaj wydaje z siebie długi, przeciągły jęk. Widząc jego zaczerwienione białka wpatrujących się nadal we mnie oczu mogę rozpoznać ten dźwięk. To krzyk. Krzyk przerażenia. Najgłośniejszy i najbardziej szczerzy na jaki go w tej chwili stać. Pomyśleć, że to być może jego pierwsze (i ostatnie) w życiu emocjonalne uzewnętrznienie się.

Kładę dłoń na jego oczach, przytulam twarz do starczej piersi. Czuję, jak ktoś z tyłu łapie mnie za ramię, próbując odciągnąć od łóżka. Założę się, że to ten palant Tadzik – bożyszczko i ulubieniec rodu, a dla mnie – zakała rodziny. Kolejna zresztą. Egocentryk, człowiek wiecznie przeświadczony o swojej zajebistości i wadze swojego istnienia, zawsze wiedzący wszystko lepiej od innych, zawsze mający prawo zganić, zawsze uzurpujący sobie wiedzę każdej dziedziny życia.

Próbuję się oprzeć, przytulam się mocniej do dziadka sygnalizując, że nie chcę go teraz opuszczać. Ale Tadzik jest kretynem, w dodatku silniejszym ode mnie.

Po krótkiej walce, stoję już nad tym owianym legendami łóżem śmierci i przyglądam się, jak Zbysław p r ó b u j e błagać swojego młodszego syna. O życie. Zdaje sobie przecież sprawę, że umierać w takich okolicznościach nie może. Boi się klątwy rzuconej przez zniszczoną duszę wnuka – w pozostałych na karku maciupeńkich włoskach

czuje już oddech Pana Ciemności.

Oczywiście wykrzywiłam usta, prezentując współtowarzyszom tej groteskowej przygody swój wewnętrzny, choć tłumiony smutek. Podnoszą się szlochy, głównie kobiet – starych ciotek, córek, kuzynek i chuj wie, kogo jeszcze. Przerwywają sobie nawzajem coraz bardziej donośnym pochlipywaniem, podciąganiem smarków. Sam próbuję nawet wycisnąć jakąś łzę, ale nic z tego nie wychodzi. Czyżbym był nieczuły? W normalnych okolicznościach prawdopodobnie wrzuciłbym się całą tą scenerią, być może nawet dorzuciłbym coś do wszechogarniającej rozpacz, chociażby z tego względu, że w takich momentach atmosfera potrafi się udzielić. A poza tym, utrata kogoś bliskiego jest chyba jednym z najdobitniejszych przykładów tego, że ludzkie życie jest przepełnione – generalnie – bólem.

Ale to była komedia. Groteska. Nie oplakuje się tak potwora. Ciekawe, ilu z tych pieprzonych hipokrytów po powrocie do domu otworzy butelkę whisky albo taniego wina, aby świętować przejście ukochanego dziadziusia do krainy wiecznej szczęśliwości.

Nie odlałem się na jego grobie. Nie to, że nie byłem w stanie. Po prostu – olałem sprawę. Nie chciało mi się. Życie Pryka zostało zakończone, jego historia nie miała się już dłużej ciągnąć. Machnąłem więc ręką.

Jeśli zapytacie, co czuję dzisiaj, kiedy wracam myślami do tamtych dni, powiem, że... nic. Być może oszukuję samego siebie, ale jakaś część mnie akceptuje to, co się zdażyło, akceptuje to, jak dałem się złamać nienawiści. Ale chcę być szczery. Czasami, kiedy dzisiaj przeżywam te dobre chwile, teraz, kiedy mogę być wreszcie sobą, uwolniony od kajdan i jarzma popierdoleńców, muszę odsuwać te wspomnienia, zapominać o nich, wmawiać sobie, że całe to kilkudniowe przedstawienie wyglądało zupełnie inaczej.

A co czułem tamtego dnia?

Nie wiem, czy poczułem cokolwiek.

1330 słów

---

Autor: flower

Artykuł pobrano ze strony [eioba.pl](http://eioba.pl)